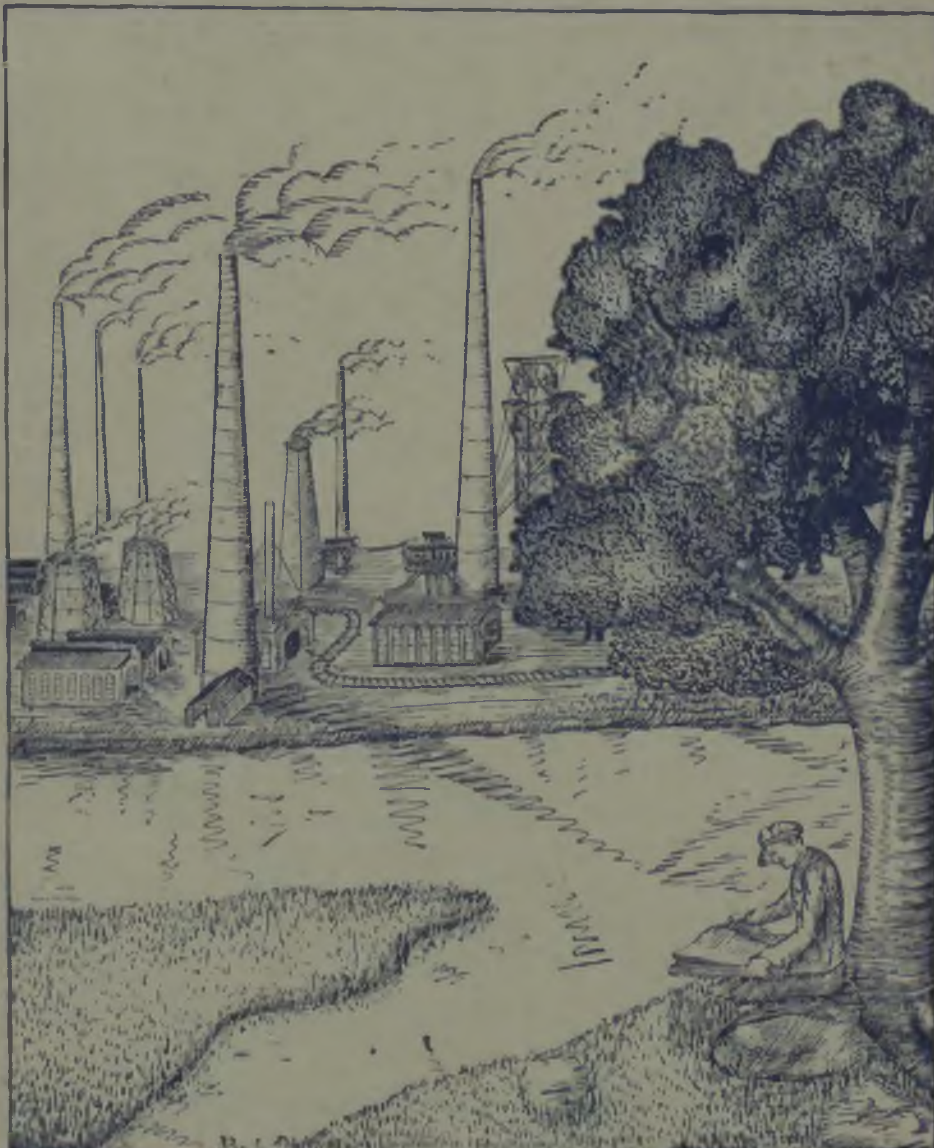
NASZE PISEMKO



Rys: J. Böhm (kl. VIII)

WYCHODZI STARANIEM UCZNIÓW
GIMNAZJUM PAŃSTWOWEGO W KATOWICACH

Rok VII. **Dnia 15-go października 1934 r.** **Nr. 1.**

NASZE PISEMKO

MIESIĘCZNIK UCZNIÓW GIMNAZJUM PAŃSTW. w KATOWICACH

Rok VII Katowice, dnia 15. października 1934 r. Nr. 1

OD REDAKCJI!

Rozpoczął się nowy rok szkolny, a z nim siódmy rok istnienia „Naszego Pisemka". Przechodzimy z klasy do klasy, by potem opuścić zakład i rozpocząć nowe, inne życie. A za nami postępują dalsze szeregi. Ale jest jedna rzecz, która pozostaje w gimnazjum — „Nasze Pisemko". W tych siedmiu latach czytaliśmy już tyle nazwisk na jego łamach, a zawsze przybywają nowe. „Nasze Pisemko" jest więc jakby naszym pamiętnikiem: napiszemy coś w niem i idziemy dalej. Piszą w niem coraz to inni koledzy. Tego roku znów dużo nowych nazwisk przybędzie.

Koledzy! Jesteśmy pewni, że tak, jak w ubiegłych latach, z zapałem popierać będziecie „Nasze Pisemko" i przyczynicie się do dalszego podniesienia jego poziomu, tak, że stanie się powodem naszej słusznej dumy.

W tym roku wprowadzamy pewne nowości, które, jak sądzimy, przyjmiecie z zadowoleniem. Niech więc „Nasze Pisemko" będzie nadal tem forum, na którem próbują się młode talenty i wypowiadają nurtujące w nich myśli i uczucia, niech w przyszłości da nam odblask niezapomnianych lat, spędzonych na szkolnej ławie.

Z nadzieją, że „Nasze Pisemko" spełni w tym roku całkowicie swoje zadanie, rozpoczynamy pracę.

KOMITET REDAKCYJNY.

H. MAJNUSZ (kl. VI a).

Poranek na wsi

I zabłysło już złote słoneczko na niebie,
Księżyc ostatni promyk wysyła ku ziemi,
Wnet go chmura zakrywa ramiony wielkiemi,
A poranna jutrzenka ze snu budzi ciebie.

I zamilkły na stawach smętne chóry żabie,
Wkoło ziemia kolory mieni się wszystkiemi,
A nad chmurą skowronki grupami małemi
Piosenkami ślicznemi chwalą same siebie.

I słychać zgrzyty studni. Chłop wstawszy z pościeli
Mówi modły poranne, z nim las, strumyk, droga
I bory szumiejące i łąka w mgieł bieli . . .

Potem słychać na łące ryki krów. U proga
Krzyżem się znacząc, ludzie do pracy się wzięli,
A wszystko rozśpiewane chwali w niebie Boga.

ŚNIECHOTA JÓZEF. (VIII kl.)

Ze wspomnień wakacyjnych

(Nowelka)

Wracając z przechadzki, zastałem gospodarza krzątającego się koło pszczół. — No, jakże tam pszczoły się chowają? — zagadnąłem. — E! jakzeby się ta chować miały, kiej to latoś bardzo kiepsko, cięgiem ino dysc a dysc kapie. — Ależ macie od dni kilku cudną pogodę lipcową, na cóż więc narzekacie? — E! no widzicie ponocku, pscoły nijak to miodu zbierać nie mogom, bo to dysc lipy docna spłókał. Ale oho! zaś grzmić zacyno. Znów ten paskudny dysc lol będzie i kto ta wie, jak długo?

Gospodarz miał rację, gdyż od strony półn.-zachodniej nadciągały ciężkie, kłębiaste chmury, zwiastujące deszcz. Burza była pewna. Ciszę przed burzą przerywał tylko od czasu do czasu potężny grzmot poprzedzony siarczystą błyskawicą, że aż ciarki przechodziły po ciele każdego, który się wpatrywał w to zjawisko?

Bydło zaczęło uciekać do obór, kaczki i kury pochowały się w kurniku, a pies, że to wrażliwy był na grzmoty, zaczął wyć i to pysk chyląc ku ziemi, co oznaczać miało jakieś nieszczęście. I ludzie zaczęli się chować w domostwach. Gdzieniegdzie tylko można było widzieć gospodarza, czy gospodynię, powracających z pola do chałupy tuż przed deszczem.

Deszcz, że to burza była straszna, walił rzęsiście, dzwoniąc wielkiemi kroplami o szyby. Pokój zaś zaległa taka ciemność, że zmuszony byłem zapalić lampę naftową. Zbadawszy raz jeszcze, czy okna szczelnie zamknięte, usiadłem na łóżku, zabierając się do czytania świeżo rozpoczętej powieści. Ale czytać jakoś nie mogłem, gdyż niepokoiła mnie dziwna cisza, zalegająca pokój Została jednak wnet przerwana błyskawicą tak jasną, że z łatwością rozpoznać można było zalęknione twarze obecnych. Zawtórował jej zaś grzmot tak zastraszający, że aż szyby i ramy w oknach trzeszczeć zaczęły. Mnie zaś — wyznając szczerze — zdawało się w tej chwili, że ziemia, zadudniwszy, zachwiała się i świat cały toczy się w bezdenną przepaść.

Burza się uspokoiła, ale deszcz padał dalej prawie tydzień cały. Ja zaś co chwilę oglądałem przez szyby głęboki dół, tuż za płotem leżący, który w miarę wzmagania się deszczu, zmieniał się w istne jezioro. Obok domu zaś, woda spływająca potokami z grapy, na której stoku mieszkaliśmy, pozostawiała tak wielkie kałuże, że poprostu przejść nie można było. Zaintrygowany tym widokiem pobiegłem do gospodarzy, by dowiedzieć się, co o tem sądzą.

W kuchni parnej, gdyż obiad gotowano, zastałem gosposię krzątającą się pilnie koło blachy. Gospodarz siedział na ławie zadumany, pykając fajkę, od której zalatywała woń ostrej presówki. Maniek, wnuk blisko trzy lata mający, pochrapywał zcicha na tapczanie. — Dobre południe gospodarzom! — rzekłem. — A! dobre połednie! — odpowiedzieli. — O! i pon Jozek do nas zaglądają! A nie szkoda to butów w takiem błocie? — rzecze gosposia. — No, bo widzicie, ten deszcz to mnie naprawdę przeraża. Postanowiłem wrócić do Katowic opalony jak murzyn, a tu masz babo placek... Boję się, żeby to tylko przez cały lipiec tak nie lało. — I któż ta wie ponocku, moze i przez sierpień lać bedzie. Bo to widzicie, tela dyscu to moze ze seść roków nie pamiętom. A lolo tez to wtedy lolo . . . . i mówię wom, ze we wsi tela pola zalolo, ze głód dwa roki nom dokucoł — prawił gospodarz. — Ale zdaje mi sie, ze to u somsiada cosik wolo — mówi gosposia. — Idźno Franek zoboc, moze ta jakie niescęście ik napadło.

Nie namyślając się długo, pobiegłem, mimo ulewnego deszczu, z gospodarzem do sąsiada, aby zbadać sytuację. Zrazu nic nie pojąłem. Słyszałem tylko monotonny plusk padającego deszczu i szum wezbranej rzeki, która parę dni temu zaledwie małym krętym potoczkiem się wydawała. Widziałem tylko, jak gospodarze biegali tam i napowrót od domu do rzeki. Bieganina ta zaciekawiła mnie tem bardziej, że słyszałem głośne nawoływania chłopów, lamenty kobiet i pobrzękiwania tęgich łańcuchów. — Musiało się coś stać — pomyślałem i pobiegłem tam, dokąd wszyscy szli.

Ledwo doszedłem do mostu, którego filary jęli chłopi przymocowywać łańcuchami do drzew, gdy most ten, podmyty do reszty przez

nieubłagany żywioł wodny, runął z wielkim łomotem w piętrzące się fale rzeki. Powstał huk ogłuszający, a bezpośrednio po nim przyszła tak wielka fala, że w obawie, by nas nie zalało, zmuszeni byliśmy posunąć się na wyższe miejsce. A była to woda zimna jak lód, o brudno-gliniastym kolorze. Z mostu, prócz paru przymocowanych łańcuchami belek, ani śladu nie pozostało. Uniosła go woda gdzieś, hen, daleko za trzecią wieś. Tymczasem deszcz powoli ustawał, a woda, jakgdyby drwiąc ze wszystkiego, brała coraz to nowe ofiary. I tak niosła deski i belki wszelkiego rodzaju, konary i nawet całe drzewa.

— Ha! trudno, mostu uratować się nie dało. Zresztą ktoby się tam zmógł z taką siłą — ozwał się ktoś. — Wracajmy lepiej do domu — zawtórował drugi. I już zabraliśmy się do odejścia, gdy zatrzymały nas okrzyki zdziwienia, a nawet zgrozy. Otóż mordercze fale niosły pierwszą żywą ofiarą — jałówkę. Musiała wpaść niedaleko stąd — rzekł ktoś z obecnych. Tem bardziej też zaczęto się brać do ratowania ofiary. A zdawało się, że o ratunek usilnie błagała, gdyż zwracała ku nam żałosne spojrzenia, aż kobietom, przyglądającym się, na płacz się zbierało. Ale na ratunek śpieszyć było już za późno, gdyż cielę raz po raz pod wodę się zanurzało, aż wreszcie całkiem nam z oczu zeszło.

Dopiero po dniach kilku, gdy woda powoli opadać zaczynała, słyszałem z ust wielu, że gdzieś, w drugiej wsi, fale na polach pozostawiły swój nieżywy już łup. Szczęście, że w naszej okolicy nie było ofiar w ludziach.

F. BRZOZA (kl. VIIb)

Bałtyk a my

(Refleksje w dniu Święta Morza)

. . . „Polska na Morzu, to symbol nawiązania teraźniejszości do najświetniejszych kart naszych dziejów, to podstawa mocy na przyszłość.“

. . . „Morze budzi polot i rozszerza horyzonty — ma ono zbawienny wpływ na kształtowanie się duszy Niepodległej Polski. To też wszyscy kochamy morze i ze szczerą i prostą radością obchodzimy jego święto . . .“

Są to porywające słowa Prezesa Rady Organizacyjnej Polaków, Marsz. Wł Raczkiewicza.

Lecz nietylko do zagranicznych, ale do wszystkich Polaków można je skierować, gdyż morze jest żywiołem, którego przyrodzona potęga rzuca się nam wyraźnie w oczy. Morze w życiu państwa stanowi bodziec działań, krystalizujących się w jego polityce i gospodarce. Takim bodźcem dla narodu polskiego jest dzisiaj Bałtyk.

Bałtyk w zaraniu wieków średnich był schroniskiem łupieżczych korsarzy-Normanów. Rola zaś handlowa Bałtyku datuje się dopiero od czasu powstania potężnego związku miast północnych, t. zw. „Hanzy“. I odtąd zaczyna się cały szereg wojen o hegemonję na morzu Bałtyckiem.

Polska w przeszłości nie zawsze dostatecznie oceniała znaczenie morza dla państwa, były jednak epoki, kiedy prowadziła szereg wojen o wybrzeża. Tak naprzykład długie wojny z Moskwą lub Szwecją nie co innego miały na celu, jak owładnięcie wybrzeżem Bałtyku.

Ale dopiero podczas niewoli, w czasie bolesnych rozważań przyczyn upadku państwa, zrozumieli Polacy, jak na losach ojczyzny zaciążyło niedocenianie morza.

Pierwszym zwiastunem odzyskania przez nas dostępu do morza był punkt 13-ty słynnych „czternastu punktów

Wilsona". Nadeszły dwa lata niepewności i nadziei, aż wybiła godzina wyzwolenia „Prus Królewskich". Oto ruszyły wojska polskie i zajmowały obszar po obszarze od 17. stycznia do 10. lutego 1920 r, aż dotarły do wytkniętych granic i stanęły nad polskiem morzem w Pucku, gdzie odbyły się symboliczne zaślubiny Polski z morzem: wrzucenie w nie pierścienia przez generała Hallera, wodza tej wyprawy.

Mogło wtedy się zdawać, że to wybrzeże pozostanie w tym stanie, w jakim go pozostawili zaborcy, w stanie zaniedbania i upośledzenia na rzecz innych części wybrzeża dzisiejszej Rzeszy. Zdawało się tak wtedy naszym sąsiadom wschodnim i zachodnim, lecz dzisiaj, z dumą patrząc na dokonane dzieło, stwierdzamy, iż genjusz twórczości, pracy i woli, genjusz ducha polskiego wykuł w twardych skałach nadbrzeżnych okno na szeroki świat, wzniósł ze smętnych piasków kaszubskich wielką budowę — Gdynię.

Kto widział Gdynię, ten najbardziej nowoczesny port na całym Bałtyku, ten wie, co potrafi żywiołowy wysiłek wielkiego narodu. Dziś już szerokie masy naszego społeczeństwa są głęboko przekonane, że pomyślność naszego kraju jest uzależniona od zrozumienia idei morza przez ogół, od popierania jej przez każdego obywatela.

Wspaniałe dotychczasowe wyniki pracy polskiej na wybrzeżu budzą najlepsze nadzieje na przyszłość, stwierdzają, że naród idzie drogą wskazaną w pierwszych latach niepodległości przez St. Żeromskiego w Międzymorzu: „Przychodzimy na to jałowe wybrzeże z cudownego losów użyczenia, na skutek przedziwnej zapłaty, ażeby zeń uczynić naszej wolności skarb bez ceny".

W. J. SKRZYPOSZEK, (kl. VIII a.)

Z Gdańska do Gdyni przez Jastarnię i Hel.

„A to świetnie, że już odjeżdżamy z Kartuz" — odzywa się mój kolega. „Nie mogę już wytrzymać! Dziś przecież będziemy w Gdańsku! Czy ty wiesz, co to znaczy?!" „Ano pewnie, że wiem", odpowiadam. „Słuchaj Kaziu, a czy ty wiesz, co nas za rozkoszna jazda czeka? Popłyniemy statkiem w nocy z Sopot do Jastarni. Mamy do tego towarzystwo. A co to będzie za rozkosz." — „Hallo, obywatele, wiadro zimnej wody tu prędko! Jurkowi coś gorąco, — znów majaczy." — „Poco? wszystkie upojenia i tym podobne majaczenia wybiją mu fale morskie z głowy. Jak mu taka fala chlupnie w mózg, to o wszystkiem zapomni." — Wtem odzywa się głos z głębi przedziału: „Kaziu! Czy ty wiesz, że ty masz wybitnie morską naturę?" „Jakto, myślisz, że się będę dobrze czuł na morzu, co? Masz rację!" — „E, nie to. Popatrz! Włosy ci falują, masz wodę w głowie, no i jesteś wspaniałym okazem bałwana . . . ."

Aniśmy się nie spotrzegli, że pociąg jechał już przez terytorjum Wolnego Miasta Gdańska. No, w imię Boże! Poprawiamy orzełki na czerwonej opasce, porządkujemy mundury. Trzeba się odpowiednio zaprezentować! Z hukiem wjeżdża pociąg na główny dworzec Gdańska. Wysiadamy, ustawiamy się w dwuszeregu i ... naprzód marsz!

Wychodzimy na miasto. Przecho-

dnie patrzą na nas ze zdziwieniem. Szczególnie przypatrują się nam hitlerowcy S.S. i S.A. Co nas najwięcej razi, to fakt, że w każdem oknie wisi swastyka. Rój swastyk .... A my w mundurach o barwach narodowych maszerujemy sobie między swastykami. Pysznie.



Na okręcie. Fot. E. Kurz (VIIIa)

Na każdym kroku spotykamy pamiątki polskie. Tu figura króla Zygmunta Augusta, tam godło państwa polskiego, i t. d. Dziwnie to wygląda pomiędzy swastykami. Wkońcu przychodzimy do „Domu Polskiego“, gdzie odpoczywamy.

Popołudniu zjawiamy się w porcie gdańskim. Wsiadamy na statek. Trzeba zaznaczyć, że mieliśmy pierwszorzędne towarzystwo! Towarzyszył nam obóz żeński. A więc, jak już wspomniałem, wsiadamy na statek. Szczęśliwi ci, którzy mogli jechać wraz z naszemi towarzyszkami. Statek był przepełniony i cała wycieczka nie mogła się pomieścić. . . . Ale jazda. Odjazd — odpływamy. Myśląc, że



Hel już blisko. Fot. E. Kurz (VIIIa)

„strzeżonego Pan Bóg strzeże," obrałem sobie doskonałe „locum." Obok mnie siedział p. Dr. Hilewicz — co pozwalało mojej osobie czuć się bezpiecznie — a naprzeciw mnie siedział . . . nie mogę powiedzieć . . . siedział . . . siedziała . . . najmilsza z koleżanek. Innemi słowy podróż z komfortem. Mieć obok siebie lekarza, a naprzeciw towarzystwo rodzaju żeńskiego, tem nie każdy mógł się pochwalić... Ale konstatuję zrazu, bo myśli się, że woda zimna, ale potem . . . Płynę, naprzód!

Wtem fala bryznęła mi w twarz. Napiłem się wody. Brrr . . gorzka, a potem robi się słono w ustach. A jednak kąpać się w morzu, to rozkosz. Płynie sobie taki elew, wtem go podrzuca faluchna w górę i wprzód . . . Ale co się stało? Przecież płynę w miejscu, macham rękami i nogami, a tu nic. Wtem nadbiegła druga fala, podrzuca mię w górę i wprzód. I tak



Maszerujemy przez Kartuzy.

że jazda statkiem niczem się nie różni od jazdy tramwajem. Byliśmy jednak jeszcze w porcie . . .

Wtem wypłynęliśmy na *„morze."* Och, co za pyszna rzecz!

Płyniemy wzdłuż brzegu. Widzimy różne hotele, plaże i t. d. Zbliżamy się do Sopot. Wdali jaśnieje piękna plaża i wysoki budynek — to pierwszorzędny hotel „Casino". Wysiadamy.

Ob. instruktor Kieresiński robi zdjęcia.

Sopoty wyglądają ładnie. Piękny park, hotele, plaża i . . . kasyno gry. Ale rychło zapominamy o wszystkiem i idziemy się kąpać. Choć godz 7-ma wieczorem, woda jest cieplutenka. Początkowo to się nibyto nie ma odwagi, dalej. Ale rozkosz się kończy i zbieramy się na przystani, wsiadamy na statek i odjazd do Jastarni. Noc była cudowna.

Nad nami ciemny turkus nieba, wyhaftowany błyszczącemi gwiazdeczkami. Przed nami ciemno-zielone morze. Ostatnie światełka znikają, niby świeczki, gasnące za powiewem wiatru. Naokoło ciemna noc. Wszędzie cisza — tylko śruba burzy spokojną taflę morza i barwi ją jasnozieloną pianą.

Czar tej ciemnej nocy na morzu ogarnął całą duszę. Cisza naokoło — cisza w duszy. Wówczas ulatuje myśl hen . . . daleko, do swoich . . . do domu. Jakżeby się chciało w tej chwili mieć wszystkich naokoło siebie. Bu-

dzi się tęsknota.

Z pod pokładu dochodzą dźwięki. To nasi koledzy, Polacy z Czechosłowacji, upajają się rytmem tanga i tańczą, ile się da . . .

Smętne tony tanga zlewają się z turkotem śruby, szumem wody, tworząc symfonję ciszy na morzu , . . Wtem na północy wystrzeliła smuga światła, znacząc na spokojnej tafli morza srebny, migocący ślad. — To latarnia morska.

Przed nami pojawiają się światełka — to Jastarnia. W Jastarni nocujemy. Następnego dnia spędzamy przedpołudnie na plaży. Popołudniu wsiadamy na statek i odpływamy na Hel. Niczem Sopoty i inne miejscowości wobec Jastarni, Helu — bo to nasze, polskie — a więc droższe.

Z Helu odpływamy do Gdyni. Oj Gdynia — to duma nasza! Port Gdański mi się nie podobał, jest jakby porozrzucany. Gdynia — przeciwnie, wszystko razem. A co za ruch!

Zwiedzamy miasto, oglądamy fundament przyszłej bazyliki morskiej. Patrzymy z wysokości na Gdynię. Już teraz ogrom, a co będzie za parę lat!

Ale wreszcie zmęczeni, przeładowani wrażeniami, wsiadamy do pociągu. Po dwóch godzinach przyjeżdżamy do Kartuz, a stąd już niedaleko do Chmielna — do obozu.

Challenge!

Z wrażeń i rozważań.

Fragmenty zadań pism. uczniów kl. VIII b
BIAŁECKIEGO, GÓRECKIEGO, KOSSEKA, SOBIESZKA i ŚLĘCZKA.

W tym pamiętnym dniu, 14. września, udaliśmy się „in gremio" na lotnisko w Katowicach. Już o godz. 6^{30} lotnisko oblęgały tłumy publiczności, okrążając je zwartym pierścieniem. Patrząc z miejsca wyżej położonego, widać było morze głów, otaczające zielony prostokąt lotniska, ograniczony białą, grubą (dla orjentacji) linją.

Wtem jakieś poruszenie wśród tłumów. — Okazuje się, że zbliża się pierwszy samolot, dolnopłatowiec, biało-czerwony. Nadlatuje „pożeracz kilometrów" (jak się później okazało) por. Włodarkiewicz na maszynie P. Z. L.

Jest to pierwszy Polak, który ląduje w Katowicach; za nim inni, także Polacy.

Zkolei nadlatują i obce maszyny. Więc bardzo szybkie Messerschmidty ze schowanem podwoziem, Fieselery, Klemmy z rozsuwalnemi skrzydłami itd.

Zdaleka widać jakiś górnopłatowiec — wśród tłumów słychać wciąż powtarzane nazwisko kpt. Bajana, faworyta na zwycięzcę Challenge'u. Samolot się zbliża, przelatuje na przepisowej wysokości nad linją mety, okrąża lotnisko, przechodzi do lądowania. . . Okrzyki . . .

* *
*

. . . Niedziela . . . . Godzina 4-ta popołudniu . . . słuchamy zakończenia Challenge'u, próby szybkości maksymalnej, mającej zadecydować o zwycięstwie. Za chwilę wyruszy do śmiertelnego boju największa nasza nadzieja — kap. Bajan, dotąd stojący na czele zawodników.

Przy głośniku siedzi nas kilkunastu chłopców; na twarzach wszystkich widać olbrzymie podniecenie i niepewność, czy Bajan zwycięży, czy też prześcignie go jakiś inny, obcy zawodnik. Oczy się nam błyszczą, kręcimy się niespokojnie na krzesłach. Wre-

szcie speaker zapowiada, że Bajan odlatuje; słyszymy szum jego samolotu i krzyki zdenerwowanej publiczności. Po kilku minutach startuje Płonczyński, za nim Seidemann, największy nasz konkurent, za nimi inni. Gorączkowe napięcie wzrasta; z niecierpliwości notujemy podawany przez speakera czas przelotu poszczególnych etapów i sami obliczamy szybkość samolotów. — Nareszcie po długich, niepokoju pełnych chwilach ukazuje się na horyzoncie jakiś samolot. „Górnopłatowiec" krzyczy speaker — „to Bajan". I w rzeczywistości niedługo potem ulubieniec publiczności ląduje wśród szalonego entuzjazmu tłumów . . .

Zabrzmiał hymn polski, a fale eteru poniosły daleko tę radosną wieść: „Hurra!" — „Hurra!" — drzemy się wszyscy — „zwycięstwo nasze". Na twarzach naszych widać naprawdę wielką radość i dumę, że Polacy znowu górą.

Po kilku minutach podniecenie potęguje się w dwójnasób — to Płonczyński przyleciał jako drugi, Seidemann nie przegonił go; a więc mamy dwa pierwsze miejsca, samoloty polskie zwyciężyły na całej linji. Publiczność na lotnisku o mało nie oszalała, a my z nią.

* * *

Testament śp. Żwirki i Wigury został spełniony, ich wysiłki i trudy nie zostały zniweczone, lecz poprowadziły nas naprzód, ku zwycięstwu i sławie.

* * *

Zwycięstwo challenge'owe wykazało światu po raz drugi tężyznę polskiego robotnika, genjusz polskiego wynalazcy i konstruktora, udowodniło, że znakomita konstrukcja samolotu, walory materjału, jakość polskiego motoru, w niczem nie ustępują zagranicznym, ale je nawet przewyższają. Przestajemy być uczniami i naśladowcami zagranicy, coraz częściej stajemy się nauczycielami. Przestajemy wmawiać w siebie, że to, co obce, to dobre, a nasze nic nie warte, — bo to kłamstwo: to, co nasze, nietylko, że nie jest gorsze, ale często lepsze i pewniejsze.

* * *

Challenge, to coś więcej, niż walka czysto sportowa o pierwszeństwo w dziedzinie lotnictwa, to podziwienia godny wysiłek konstruktorów samolotów i pilotów. Zacięty ten bój o palmę pierwszeństwa w tej dziedzinie toczył się nietylko w przestrzeniach powietrznych, lecz także w warsztatach samolotów. Powiedziałbym nawet, że główna walka Challenge'u, najzaciętsza, toczyła się w tych właśnie warsztatach, gdzie konstruktorzy wytrwale dążyli do osiągnięcia zwycięstwa. Walka ta toczyła się nieustannie, od szeregu lat, a zawody challenge'owe są tylko świadectwem wysiłku konstruktorów, wykazem, ile pracy i talentu włożyli w nią, aby stworzyć arcydzieło techniki lotniczej.

* * *

Wielkie znaczenie ma też Challenge ze względu na rolę, jaką odgrywa w społeczeństwie. Z racji swego charakteru sportowego, jako zawody, do tego jeszcze międzynarodowe, budzi on ogromne zainteresowanie, jest ogromną emocją mas.

Oczywiście przytem społeczeństwo zaczyna się szerzej interesować samem lotnictwem. Pobudzane dumą narodową i ambicją zdobycia zwycięstwa, nie żałuje grosza na ten cel, przyczyniając się tem samem mocno do rozwoju

lotnictwa własnej ojczyzny, do umocnienia sił obronnych państwa. W szczytnem dążeniu do zapewnienia Polsce i następnego zwycięstwa łączą się z nami nawet Polacy zagraniczni.

* * *

Wspaniałe zwycięstwo, odniesione w przestworzach, jest jeszcze jednym dowodem niepowstrzymanego naszego wyścigu pracy, w jakim budujemy wielkość i potęgę Państwa.

* * *

W przygotowanie do przyszłych zawodów lotniczych trzeba nam będzie włożyć bardzo wiele wysiłku i wykazać dużo sprawności, gdyż nasi współzawodnicy będą się starali w następnych zawodach wszelkiemi siłami uzyskać zwycięstwo. Szczególnie musimy się mieć na baczności przed lotnikami niemieckimi, którzy w r. 1929 i w r. 1930 zdobyli puhar Challenge'u. My więc i oni zdobyliśmy puhar po dwa razy; kto trzeci raz zwycięży, ten zatrzyma puhar na stałe. Dlatego naszem zadaniem jest zdobyć go po raz trzeci i nie możemy lekceważyć sobie najgroźniejszego współzawodnika, który w swojem państwie ma dziesiątki szkół pilotów, dziesiątki tysięcy wykształconych lotników.

W lotnictwie sportowem możemy mimo tego, przy pewnym wysiłku całego społeczeństwa, zdobyć palmę pierwszeństwa.

Inaczej przedstawia się nasze lotnictwo w razie wojny. Tu zwycięstwo samolotów polega nietylko na jakości, lecz także na ilości. Nie wystarczy zadziwić świat jednostkowym wyczynem konstruktorów i lotników, lecz trzeba, żeby w całem społeczeństwie powstał masowy prąd w kierunku rozwoju lotnictwa i postawienia go na najwyższym poziomie nietylko jakościowym, lecz także ilościowym. Trzeba wśród młodzieży, tej przyszłości narodu, popierać wszelkiemi sposobami ideę sportu lotniczego, gdyż silne lotnictwo, to pewna gwarancja, to nieodzowny warunek bezpieczeństwa kraju.

„Pi" (kl. VIIIa.)

Pośród kosmosu.

Noc.

Czarna noc.

Miasto miljonowe pogrążone w ciemności, zdawało się być zamarłem z przerażenia. Nigdzie ani jednego światełka.

Chwilę trwała cisza skamieniałego jakby miljonowego olbrzyma. Nagle . . . ryk syreny jednej, drugiej . . cały chór. A potem hałas nie do opisania, gwizdy olbrzymich maszyn, zgrzyt zatrzymywanych niewidzialną ręką kół.

Coś dziwnego zaczęło targać powietrzem. Warkot jakby oddalonej masy motorów, gdzieś w przestworzu rósł. Ale zagłuszyło go przerażenie . . . miljona. Za późno, za późno.

Admiralicja połapała się niewcześnie wśród ogłuszających krzyków zgrozy, by zapalić w niedostępnych dla promieni V celach olbrzymie reflektory. Smugi się skrzyżowały na kirze nieboskłonu . . . nie znalazły nic. To zbawiło miljon.

Cztery olbrzymie pochyłe bramy tunelów podziemnych pochłonęły cały miljon istnień. W ciągu piętnastu minut nie było nikogo na powierzchni. Wąwozy głębokie ulic stanęły pustkami. Ogłuszający warkot zawisł nad miastem, warkot motorów — bez ludzi.

W świetle potężnych reflektorów wbudowanych w ferroszklannych schronach przesyconych contra V substancją, ukazały się płatowce, czarne jak noc, ledwie widoczne, o skrzydłach parasolach i o wypukłych kadłubach. Było ich sześć, po trzy w szeregu.

Zawisły nieruchomo.

Coś błysnęło jednocześnie we wszystkich kadłubach. Sześć białych metalowych bań spadło na ulice i rozprysnęło się.

Drugi raz błysk . . .

. . . lecz natychmiast huk. To admiralicja dała salwę z dział. Światła reflektorów skrzyżowały się na czarnych wdół lecących kadłubach.

Rozległ się suchy trzask.

Cichnący warkot oznajmił oddalenie się czterech pozostałych nocnych gości.

Miljon w podziemiach zawył żałośnie - był uwięziony Sześć baniek było równoznacznych zagładzie sześciu miljonów istnień. Tryljony bakteryj tropazy stanowiły zawartość rozbitych bań.

Tropaza. Najstraszniejsza z wrogów ludzkości. Najstraszniejsza z broni chemiczno-bakterjologicznych.

Uwięziony miljon czekał na zbawcę.

W podziemiach starczyło powietrza na szesnaście godzin dla półmiljona.

O świcie odczuto odprężenie atmosfery. Tajemnicze promienie V przestały działać. Rotory licznych maszyn zaczęły pracować w podziemiach cicho, prawie niedosłyszalnie. To genjusz ludzki przyzwyczaił te krnąbrne istoty do milczenia w czasie pracy. Tysiące różnorodnych preparatów odżywczych wypluwały one ze swych gardzieli, by zaspokoić głód swych panów.

Z hermetycznie zamykanych podziemi wysunęło się dwudziestu ludzi w skafandrach. Zbliżyło się do dwudziestu dziwnego kształtu wehikułów. Wzbiło się pionowo w powietrze i wyrzuciło z wnętrza aerodyn syczący, siny dym, który otulił miasto szczelnie obłokiem.

* * *

Mijała siódma godzina uwięzienia.. cztery tysiące istnień już nie żyło. Reszta dusząca się wywalała stalobetonowe odrzwia bramy. U progu leżał, tonący we krwi kapitan bramy Nr. 1. Nie chciał powiedzieć numeru na okrągłej tarczy podziałki otwierającej podziemia, by zbawić miasto od tropazy. Ani palniki, ani świdry mechaniczne nie mogły uporać się ze stalobetonowem, dwumetrowej grubości odrzwiem.

c. d. n.

T. JESIONEK (kl. VIIb)

Nasze Osiedle w czasie wakacyj.

Staraniem Rady Rodzicielskiej przy naszem Gimnazjum zostało założone w Mikuszowicach niedaleko Bielska Osiedle, które umożliwiło niezamożnym uczniom spędzić beztrosko wakacje letnie. Pobyt w Osiedlu należał do najprzyjemniejszych chwil, jakie kiedykolwiek przeżywałem. Opiekunami w Osiedlu byli kolejno Profesorowie P. Weiss, P. Smidowicz, P. Bolchower i P. Smoleń, którym uczestnicy kolonji składają podziękowania za troskliwą nad nimi opieką. Życie w Osiedlu upiększały liczne wycieczki, któreśmy urządzali, o ile tylko pogoda na to zezwalała. W dni zaś słotne lub wieczorami otwarta była świetlica, w której uczestnicy kolonji mogli się zabawiać w najrozmaitsze gry lub czytać książki w umyślnie urządzonej czytelni. Oprócz tego odbywały się często pogadanki naukowe, na których P. Prof. Smoleń poruszał różne ciekawe tematy. Gromadkę naszą odwiedził także P. Dyrektor, na którego przyjęcie cała kolonja przygotowywała się z radością, chcąc podziękować za tyle trudu i trosk przy zrealizowaniu projektu założenia Osiedla, z którego mogą korzystać wszyscy uczniowie. Cała kolonja opuszczała z żalem miejsce, w którem spędziła tyle przyjemnych i pięknych chwil.

Z Osiedla.

Z pamiętników A. PIĄTKA i CZ. ŁASTOWSKIEGO, uczniów kl. IIb.

Wtorek, 2. października 1934.

Rano wszyscy długo spaliśmy, obudziła nas dopiero pobudka. Ubraliśmy się bardzo szybko i gdy odezwał się gwizdek, zastęp, w którym byłem, był pierwszym na miejscu zbiórki. — Początek dnia był taki jak poprzednie dni, ale później poszliśmy na Klimczok. Droga była dość ciężka, gdyż cały

czas szliśmy pod górę Przeszliśmy przez Stefankę i Szędzielną. Na obu tych górach odpoczywaliśmy, a na Klimczoku zatrzymaliśmy się godzinę. W drodze powrotnej urządzaliśmy „Chailenge“. Regulamin składał się z 10-ciu punktów: śpiewu, marszu, utrzymywania dobrej odległości 20 m, orjentowania się w sygnałach i innych warunków. Szliśmy trójkami, ustawieni byliśmy według zastępów. Nasz zastęp szedł trzeci. Wkońcu, po wielu staraniach, udało się zwyciężyć zastępowi, w którym ja byłem. Drugie miejsce zdobył zastęp VII, a trzecie zastęp VI. Zwycięzcy Challenge'u dostali w nagrodę podwójną porcję leguminy. — Popołudniu odbyła się nauka, był j. polski i historja. Wieczorem goniliśmy się po ogrodzie, co powtarzało się codzień. Po kolacji była świetlica, na której omawialiśmy pracę i życie człowieka. Po ściągnięciu sztandaru poszl śmy spać.

Wieczorem zastęp nasz nazwaliśmy zastępem „Orłów“.

* * *

Środa, 3. października 1934.

Już trzeci dzień jesteśmy na Osiedlu. Wstaliśmy, jak zwykle, o godz. 6 tej. Wyjrzałem przez okno — na dworze pięknie świeciło słońce. Po gimnastyce — trzeba myć się i ubierać — następnie śniadanie. Po śniadaniu niestety nie poszliśmy na wycieczkę, lecz na lekcje. Mieliśmy dwie lekcje, a mianowicie j. polski i matematykę; trzeba zaznaczyć, że ten ostatni przedmiot jest wyklęty przez państwo uczniów, lecz tu matematyka przeszła bardzo przyjemnie. Po mate



Wejście do Osiedla. Fot. prof. dr. Janicki.

matyce poszliśmy na gimnastykę odświeżyć zakopcony umysł. Po gimnastyce mieliśmy obiad. P. prof. Kloska oznajmił nam, że teraz mamy trzy godziny wolnego czasu (tu to jest rzeczą rzadką), naturalnie przyjęliśmy tę wiadomość z entuzjazmem. Niektórzy poszli zaraz do pobliskiego sklepu imci pana Neumana (zdążyłem już dowiedzieć się nazwiska). — Drudzy zaś kopią zawzięcie piłkę (ja także do nich należałem), trenując się do przyszłych zawodów piłki nożnej pomiędzy Polską a Niemcami. Naturalnie zwycięstwo będzie po naszej stronie. Np. koledzy K. P. i M. nadają się na międzynarodowe rozgrywki piłki nożnej, ale tylko na widzów i to w ostatnich rzędach — O godz. 4-tej podwieczorek, następnie mieliśmy 2 lekcje O godz. 7-mej kolacja, a po niej mieliśmy świetlicę, gdzie p. prof. Kloska miał pogadankę o znaczeniu człowieka w przyrodzie; potem był „kącik literacki", na którym popisywał się nasz kochany kolega „Moniek". A ja musiałem, na żądanie kolegów, odczytać kronikę z dnia poprzedniego.



Przy obiedzie. Fot. prof. dr. Janicki.

A. ZAKRZEWSKI (kl. VIII a).

Odczyt prof. Cazin'a.

W poniedziałek, 8. bm., odbył się w auli Techn. Zakładów odczyt wielkiego przyjaciela Polski, tłumacza „Pana Tadeusza" na język francuski, profesora Pawła Cazin'a. Większość słuchaczy stanowiła młodzież szkolna. Na wstępie pan kurator dr. Kupczyński przedstawił nam pokrótce zasługi prof. Cazin'a, położone na polu zbliżenia polsko-francuskiego przez przekłady arcydzieł naszej literatury. Jego działalność można porównać z dzia-

łalnością Boya-Żeleńskiego, jako tłumacza. Rozpiętość jego zainteresowań jest bardzo duża: przyswoił on literaturze francuskiej tak dzieła Mickiewicza i Norwida, jak Paska, Weyssenhofa i Zapolskiej. Cazin mówi po polsku płynnie, czasem tylko źle akcentuje wyrazy. Mówi z werwą i humorem.

Z odczytu dowiedziliśmy się, że po raz pierwszy zetknął się z Polakami w 1904 r., kiedy jako student poszukiwał zajęcia na lato. Poznał wtedy hr. Edw. Raczyńskiego i dzięki niemu uzyskał posadę w ówczesnem Księstwie Poznańskiem. Po raz drugi przyjechał do Polski w 1910 r., w charakterze korespondenta prasowego na uroczystości 500 lecia zwycięstwa grunwaldzkiego. W czasie wojny znów przebywa w Polsce, jako tłumacz wojskowej misji francuskiej.

Za prace z dziedziny polonistyki otrzymał od uniwersytetu lwowskiego tytuł doktora filozofji honoris causa. Nad przekładem „Pana Tadeusza" pracował dwa lata, ale już znacznie wcześniej przekładał wyjątki z niego.

Przełożył „Pana Tadeusza" prozą, gdyż Francuzi prawie nigdy nie przekładają wierszem. Przekład ten został przyjęty wprost entuzjastycznie, czego dowodem są dwie setki recenzyj w gazetach i niezliczone listy, jakie tłumacz wciąż jeszcze otrzymuje od swych rodaków. „Pan Tadeusz" podoba się Francuzom przedewszystkiem dzięki swemu swoistemi humorowi i prostocie, który oni bardzo w literaturze cenią. Najlepiej stosunkowo wypadły w przekładzie dialogi, gdyż język francuski lepiej oddaje dialogi, niż wstawki liryczne.

Miejmy nadzieję, iż literatura francuska przyjmie na stałe „Pana Tadeusza", jak przyjęła inne arcydzieła literatur obcych.

A. ZAKRZEWSKI (kl. VIII a)

Wywiad z prof. Cazin'em.

Po odczycie poniedziałkowym zaczekałem z kol. Kurzem na chwilę wyjścia profesora Cazin'a z gmachu Technicznych Zakładów, aby poprosić go o poświęcenie nam w następnym dniu chwili czasu, celem udzielenia wywiadu dla „Naszego Pisemka". Profesor Cazin chętnie się zgodził i zaprosił nas do siebie, to jest do „Hotelu Polskiego", w którym się przejazdem zatrzymał, na godzinę dziewiątą, lub nieco później. Niestety stawiliśmy się właśnie „nieco później" i okazało się, że profesora „porwały" gdzieś koleżanki z żeńskiego gimnazjum, które w podobnym jak my celu zjawiły się u niego. Ponieważ profesor Cazin miał wyjechać w południe do kraju, więc obawiając się dalszych przewrotnych podstępów naszych szanownych koleżanek po podwójnym fachu — pilnie stróżowaliśmy na ulicy, czy nasza ofiara się nie zbliża. Wreszcie weszliśmy do restauracji hotelowej (a był z nami także sam Redaktor Naczelny), prosząc portjera, aby dał nam natychmiast znać, gdy pan profesor powróci. O godzinie wpół do dwunastej zjawił się profesor, zamówił sobie herbatę, opowiedział nam, jak to zaprowadziły go panienki do pani Kossak-Szczuckiej i zaczęliśmy wywiad.

Profesor Cazin ma około 55 lat, co jednak przy jego francuskim temperamencie nie oznacza starości. Przeciwnie, jest żwawy, wesoły i sprawiał na nas chwilami wrażenie zupełnie młodego człowieka. Był w stosunku do nas tak miły i przystępny (szczególnie to nam się podobało), że wkrótce wywiad zmienił się w pogawędkę, która trwała prawie pół godziny. Naturalnie nie mogę tu napisać wszystkiego, o czem mówiliśmy, gdyż zajęłoby to zbyt dużo miejsca. Podaję tu tylko najciekawsze momenty naszej rozmowy z wielkim uczonym

— Jak długo trwał obecny pobyt Pana Profesora w Polsce? — Przebywam w waszej kochanej Polsce od dwóch tygodni, ale zdążyłem w tym czasie wygłosić 6 odczytów, oprócz innych zajęć, w tem jedną mowę inauguracyjną na otwarciu Zjazdu Slawistów; jest to stanowczo trochę za dużo i czuję się porządnie zmęczonym —

— Co Pana Profesora najbardziej pociągało ku Polsce i ku jej literaturze? —

— Najbardziej kocham Polskę za jej ducha humanistycznego, przejawiającego się właśnie w literaturze. Wasi humaniści, jak Modrzewski, czy Orzechowski — to pisarze, należący do najlepszych w ówczesnej Europie. Pozatem podoba mi się w waszej literaturze mistycyzm.

— A przecież Pan Profesor wspominał w czoraj, że literatura francuska, jest nawskroś realistyczna i racjonalistyczna, a obce jej są pierwiastki romantyzmu? — Tak jest, mojem zdaniem jedynym wielkim poetą romantycznym we Francji był Racine, ale on należał do nielicznych wyjątków. Bo Francuzi lubią przedewszystkiem logiczność i jasność treści. Mistycyzm zaś mnie osobiście tylko odpowiada. —

— A jakim rodzajem literatury specjalnie się Pan Profesor zajmuje?

— Oprócz licznych przekładów pisuję powieści, przedstawiające przeważnie małomiasteczkowe życie prowincji francuskiej. Sam bowiem pochodzę z prowincji, z okolicy Cluny, w Burgundji, i głęboko mnie wzruszył widok herbu opactwa z Cluny, wyrytego w murze jednego z waszych opactw. —

— A jak się Panu Profesorowi podoba nasza literatura współczesna? —

— Najbardziej cenię Rostworowskiego. Przecież jego „Niespodzianka“ jest godna pióra Eurypidesa! Pozatem świetnym pisarzem jest Parandowski, podziwiam jego spokój, głębię i humanizm.

— A poezja? —

— Co to jest prawdziwa poezja i jaką być powinna - to strasznie trudno określić. Próbował to uczynić u nas Paweł Valery. Ja sam dobrze nie rozumiem, jaką powinna być poezja. Podobają mi się wiersze Obertyńskiej, ciekawe są też poezje Jasnorzewskiej - Pawlikowskiej.

— Czy ma Pan Profesor zamiar przełożyć w najbliższym czasie coś z naszej literatury na francuski? —

— Owszem, chciałbym bardzo przełożyć „Beniowskiego“, naturalnie prozą, pozatem koniecznie - „Moralność pani Dulskiej“ Zapolskiej, oraz Iwaszkiewicza - „Panny z Wilka“. To ostatnie dla szerszej warstwy czytelników, którym też trzeba przecież coś dać. Ale chwilowo muszę na gwałt kończyć pracę doktorską o Krasickim, po której skończeniu mam objąć katedrę polonistyki w paryskiej Sorbonie —

— A jak Pan Profesor ocenia działalność Boy'a Żeleńskiego, jako tłumacza?

— Boy tłumaczy świetnie, to wielki talent.

— Teraz jedno pytanie, nas, młodzież, specjalnie obchodzące: jaką jest dzisiejsza młodzież francuska w porównaniu z naszą? —

— Nie znam dokładnie waszej młodzieży, ale mam wrażenie, że młodzież francuska jest bardziej materjalistyczna, podczas gdy wasza ma więcej zapału i idei.



Paweł Cazin
(z dedykacją dla Naszego Pisemka)

Ponieważ zbliżał się czas odjazdu pociągu, którym pan Cazin miał jechać do Pragi, więc kazał znieść nadół swe walizki, uregulował rachunek w restauracji za siebie i za nas (nasze protesty były bezskuteczne) i poszliśmy na dworzec. Jeszcze po drodze dowiedzieliśmy się, że pan profesor bardzo ceni Lechonia, znanego poetę naszego, który jest teraz szefem wydziału propagandy ambasady polskiej w Paryżu, i że wróży mu jeszcze dużą przyszłość na polu poezji. Pozatem dowiedzieliśmy się, że Pan Cazin włada nie mniej, nie więcej, ale sześcioma językami. Pomogliśmy mu jeszcze w perypetjach biletowych i po otrzymaniu fotografji z dedykacją dla „Naszego Pisemka“ — pożegnaliśmy przemiłego profesora.

Rozważając rozmowę, myślę, że możnaby wymienić wiele innych książek ze współczesnej literatury naszej, godnych tłumaczenia, że prof. Cazin powoduje się w wyborze dzieł do przekładu tylko osobistemi upodobaniami (jak każdy artysta), nie umniejsza to jednak wielkiej wartości, jaką ma on dla nas, jako tłumacz. Cazin jest przekonań konserwatywnych, jest gorącym zwolennikiem humanizmu, co podkreśla na każdym kroku. Należy on do wypróbowanych i prawdziwych przyjaciół Polski, tak potrzebnych nam zagranicą.

J. GWÓŹDŹ, (kl. VII b).

Kongres Sodalicyj Marjańskich

uczniów szkół średnich w Polsce, oraz obchód jubileuszu Odkupienia i 15-lecie Związku w Częstochowie.

Dnia 4 i 5 lipca 1934 r. obchodziła wielka rodzina młodzieży sodalicyjnej całej Polski uroczysty dzień. Zebrawszy się u stóp Marji, Pani i Matki naszej, Królowej Polski, święciła ona wspaniały Jubileusz chrześcijaństwa, oraz maleńki, skromny jubileusz swojego Związku. Nie był to zjazd przeciętny, lecz potężny zlot sodalicyjnych orląt do macierzystego gniazda na wysokiej, Jasnej Górze, tej strażnicy ducha Bożego całego narodu polskiego od pół tysiąca zgórą lat. Naprawdę imponujący był widok tej masy obcych sobie, a jednak bliskich celem i ideą młodzieńców, słuchających w skupieniu podniosłych przemówień ks. ks. biskupów J. E. dr. Kubiny i dr. Sapiehy, czy też płomiennej mowy przeora klasztoru, lub wreszcie samego prezesa Związku, w domu Matki Boga przy wspólnej Eucharystycznej uczcie. A takie punkty programu, jak efektowny pochód wieczorem na wałach klasztoru z zapalonemi świecami i pieśnią na ustach, albo akademja w „Panoramie", musiały głęboko utkwić w sercach uczestników i wlać w nich wiele mocy, światła i zapału do wielkiej ich pracy, odrodzenia duchowego siebie, a przez to odrodzenia młodzieży i podniesienia narodu w Chrystusie.

Kronika.

JURAND (kl. VIII a)

Początek roku szkolnego.

Z dniem 20-tym sierpnia rozpoczął się nowy rok szkolny. Po wysłuchaniu mszy św. młodzież zebrała się w auli, gdzie przemówił do niej p. dyrektor Dr. Francić. Po przemówieniu p. dyrektora udali się uczniowie pod przewodnictwem pp. opiekunów klas do odpowiednich sal, gdzie załatwiono szereg spraw, związanych z początkiem roku szkolnego.

Normalna nauka rozpoczęła się nazajutrz, jak zwykle o godz. 8-mej rano.

Poranek L. O. P. P.

Dnia 27. IX. 1934 urządziło koło L. O. P. P.-u na cześć zwycięstwa polskich lotników w Challenge'u 1934 r. uroczysty poranek w auli Zakładu. Na początku usłyszeliśmy deklamację kol. Wąsali (kl. V c), poczem przemówił kol. Mehlich (kl. VI c). Bardzo miłą niespodziankę sprawił nam kol. Dłużniewski (kl. V c), który wesołem opowiadaniem propagandowem ubawił wszystkich kolegów. Na zakończenie przemów ł p. prof. Tylek. Orkiestra szkolna dopełniła, jak zwykle, całości programu.

Pierwsze zebranie „Kuźni Młodych".

Dnia 2-go października b. r. odbyło się w Gimnazjum żeńskiem w Katowicach pierwsze zebranie dyskusyjne „Kuźni Młodych". Zebranie zagaił kol. Ciencała (gim. mat. przyr.), poczem kol. Bobińska (kl. VII. gimn. żeńskie) wygłosiła referat dyskusyjny na temat powieści p. Dąbrowskiej p. t.: „Noce i dnie".

Referat był doskonale opracowany i przyniósł wielką korzyść zebranym. Kol. Bobińska omawiała bohaterów powieści i ich psychologję. Po referacie rozwinęła się dyskusja. Pierwsze zebranie „Kuźni Młodych" należy uważać za udatne. Szkoda, że było tylko 20 obecnych. Zebranie takie przysparza bardzo wielu wiadomości, których niezawsze można gdzieindziej nabyć. Dnia 6. XI. o godz. 5-tej odbędzie się drugie zebranie dyskusyjne. Radzimy starszym kolegom przyjść.

Dział matematyczny

(pod redakcją prof. Mikołaja Orlickiego)

I. POLITKOWSKI (kl. VIII a)

Kilka uwag o ogólnem rozwiązaniu równań wyższych potęg.

W numerze 7-mym „Naszego Pisemka" (rok VI-ty) z dnia 1. VI. 1933 były umieszczone „Nierozwiązalne zadania z matematyki w starożytności".

Zadania te narówni z innemi, trudniejszemi zagadnieniami z dziedziny matematyki, jak również kwestja rozszerzenia pojęcia liczby oraz astronomiczne zadanie o ruchu trzech ciał związanych grawitacyjnem prawem Newtona, wpływały bardzo na rozwinięcia wiedzy matematycznej. Spowodowały one nowe eksperymenty i skierowały usiłowania największych badaczy na nowe tory, ku nowym zagadnieniom godnym ich genjuszu.

W miarę tego, jak przed twórczą myślą powstawały trudniejsze nierozwiązalne zadania, rozwijały się sposoby roztrzygnięć i wyłaniały się nowe, bardziej ogólne poglądy na właściwość tych zagadnień, jako też na wzajemny ich stosunek.

Do takich nierozwiązalnych zagadnień należą również ogólne rozwiązania równań wyż-

szych potęg. Chodzi tu o kwestję badania ogólnej formy zależności funkcyjnej, wiążącej pierwiastki i współczynniki równania powyżej czwartej potęgi. Oczywiście jest dużo szczególnych wypadków, w których równania piątej, szóstej i t d potęg rozwiązują się, wystarczy wskazać na równania zwrotne, trójmienne, dwumienne i t. d.

Gauss jednak udowodnił, że każde równanie obowiązkowo ma jeden pierwiastek, a więc ogólna liczba jego pierwiastków równa się jego potędze.

Inny uczony - Abel, udowodnił, że chociaż te pierwiastki istnieją, jednak dla równań powyżej czwartej potęgi nie można znaleźć ogólnego wzoru rozwiązania. Nawet ogólne rozwiązania równań trzeciej i czwartej potęgi są tak dalece skomplikowane, że niewygodne są dla obliczenia pierwiastków

A więc dalsze usiłowania matematyków szły w tym kierunku, by z jednej strony - znaleźć poszczególne wypadki równań potęg wyższych, rozwiązujących się w pierwiastkach, z drugiej — ustalić sposoby obliczenia pierwiastków tych równań w przybliżeniu.

Praktycznie - sposoby te dają zupełnie wystarczające rozwiązanie postawionego zagadnienia, dla ich zrozumienia koniecznem jest poznanie podstaw analizy nieskończenie małych.

Szarady i zagadki.

Szarada.

(ułożył: A. Widera, kl. VI c.)

Pierwsze i drugie - to pokój duży —
Za miejsce zabaw tanecznych służy.
Trzecie i czwarte - grecka moneta —
Całość zaś — wyspa sławą okryta,
Gdzie bitwa Greków z Persami wrzała,
Sławą okryta wysepka mała.

Bilety wizytowe (ul. A. Widera, kl. VI c).

Daniel Woch

Roman Izki

Stan. Igora

Jaki jest zawód tych panów?

11	12	6	15
16	5	7	1
14	2	4	9
8	10	3	13

Zagadka

uł. A. Pitsch (kl. V c,)

Ułożyć te liczby tak, by czytane zgóry na dół, wszerz i wskos dały liczbę 34.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek z nrów 1. i 2. wyznaczy Redakcja przez losowanie nagrodę w postaci książki. Rozwiązania należy wrzucać do skrzynki „N. Pisemka“ do dnia 5 listopada b. r.

Koledzy — poeci! Konkurs!

Za najlepszy wiersz nadesłany do II i III (listopadowego i grudniowego) nru „N. Pisemka“ przeznacza Redakcja nagrodę!

DOSIĄDŹCIE PEGAZA!

HUMOR.

1. **Różnica.**

Jaka jest różnica między osłem a koniem?
Na koniu już jechał niejeden osioł, lecz na ośle jeszcze żaden koń nie jechał.

2. **W wojsku.**

Kapitan pyta się rekruta: Jak się nazywacie?
Rekrut: Orkiestra.
— Jakto „Orkiestra“? Ano, bo pan kapral nazywają mię „ty trąbo“, pan plutonowy „ty bębnie“, pan sierżant „ty piszczało“, pan porucznik „ty basie“, a koledzy „puzon“, czy to nie cała orkiestra?

Odpowiedzi Redakcji.

Kolegom, którzy nadesłali materjał-dziękujemy. Narazie zamieszczamy część ,- resztę w dalszych numerach.

Kol. Dyner. Należało ująć w innej formie, zaktualizować, nawiązać do Challege'u 1934. Styl wskazuje na wyrobienie. Prosimy o prace dalsze.

Kol. Morawiec. Nowelka dobra. Narazie jednak nie umieścimy.

Kol Kopiec. Zupełnie dobre, lecz nieaktualne. Prosimy o nadesłanie dalszych prac.

Adres: Redakcja i Administracja: Katowice, Gimnazjum Państwowe, ul Mickiewicza, nr. tel. 34207. Wszelkie artykuły i listy należy przesyłać pod powyższym adresem. Opiekun mies. „Nasze Pisemko“, **Dr. E. Trzaska.** — Redaguje Komitet redakcyjny: **W. Skrzyposzek**, przewodniczący (kl. VIII a), **I. Politkowski, A. Zakrzewski** (kl. VIII a), **J. Hielscher, I Wilk** (kl. VIII b), **J. Daab** (kl. VII a), **S. Powol, P. Rehlich** (kl. VII b), **H. Majnusz** (kl. VI a).
Katowice, Gimnazjum Państwowe.

Druk: Drukarnia Przemysłowa, Katowice, ul. Wojewódzka 20.

Treść numeru: